

WŁADYSŁAW ORKAN

---

**Niedowiarek**

WŁADYSŁAW ORKAN

PLANETY

## Niedowiarek

Ślota już dwa tygodnie trwa... Zewsząd, z południa i z zachodu, z dalekich łądów i od morza zleciały się mgły i przysiadły tę ziemię nieszczęsną, tę krainę kęp i wiecznej nędzy; rozścieliły się po mokrych ziemniaczyskach, porośniętych wcześniej łośpuchem i mleczem trującym, i przeganiają się po ugorach i tłokach, gdzie czerwienią się rdzawo rozorane, niczem nie obsiane, zagony.

— Dawno już nie było takie wiesny — mówią strapieni ludzie między sobą. — Ani to ziemniaków okopać, ani to dosiać pocziwie, jak się patrzy, bo jakże? Deszcze i psoty bez ustanku... O Boże litościwy i drogi, cóż się to stało, aj co, żeś się tak uwziął na ten naród nieszczęsny?

— Dejcie-no spokój — powiadają starzy. — Nie bądźcie tacy nagli. I Paniezus się zlituje, skoro go złość opuści....

— Dyc'niejak, ale...

— Najgorzej pierwszą biedę przeczekać, to się już do następnych człowiek wezwycza!

— Bo musi!

— Nie bluźnijcie ino, moi mieli, i nic nie gadajcie naprzeciw wyroków boskich, a miejcie se to na uwadze, że Opatrzność boska zawdy wisi nad nami, ino że my je nie widzimy, bo my je niegodni...

Na to już nie ma nikt nic do powiedzenia, jeden tylko Cyrek, co przy samym kościele siedzi, zdaje się powątpiewać, bo chlipie niezrozumiale oczami... Ale ktoby się ta obzierał na takiego niedowiarka? Nie wierzy — to zmierzy i sam się przekona.

W kościele nabożeństwa się odprawiają na uproszenie pogody u Pana Boga. Fałami lud zalewa kościół drewniany. Ciżba w świątyni, duszenie, płacz, przekleństwa i krzyki — po sumie: suplikacje przejmujące, organy i jęki. Wszystek lud płacze zmiłowania Bożego. Z dalekich roztek spłynął do ołtarza i pada krzyżem przed wystawioną monstrancją.

Po nabożeństwie wylewa się potok głów odkrytych z kościelnego cmentarza i rozplywa się po kamienistym rynku. Widać gromadki, powiększające się z każdą chwilą, gwarzące cicho, trwożliwie, bez krzyku i hałasu.

Na długich ławach, przed karczmą-ratuszem, usiedli rzędem gazdowie i wiekowi. Siedzą z pochylonemi głowami: strączki białych włosów osłoniły im spalone szyje. W siwych chazukach z owczej wełny, zdają się być rzędem karłowatych jałowców, osendziałych śniegiem.

I u wójta, w urzędzie gminnym, nie tak gwarno i hałaśliwie, jak zwykle. Poschodzili się, co prawda, wszyscy radni; nie brak Jędrka z nad miedzy i Józka od Chlipały i Tomka Nieboraka ze Skalistego; jest i pan pisarz, „jedna głowa na cztery wsie dookoła, jeden rozum i jedno orendzie”.

Siedzą, bo siedzą, bo ławek nie braknie; piją, bo piją, bo co mają robić na te ciężkie czasy — ale u wszystkich widać zasepienie i utrapienie wieczne, co młyńskim kamieniem sparło się na sumieniu i ani rusz.

— Tak moiściewy — począł Tomek, podając szklanekę kumotrowi. — Nie dość jednej biedy na świecie, ba zawdy ich musi być więcy. Człek się ogania, wicie, siepie na wszystkie strony, a tu darmo, bo jak cię ścisną zewsząd, to ani dychniesz człeku nieboraczku... w ręce!

— Dej Boże!

Na tę naszą biedę...

— Biedkę kochaną!

I kolejka przeszła rzędem, nie omijając nikogo. Wójt Okpiśny szynkuje rażno, sprawiedliwie, przymrukuje każdemu z osobna, wszystkim potakuje i ręce zaciera, rad widocznie sobie i całemu światu.

— Pamiętacie wy kiedy, wójcie, taką wiesnę?

— Jakże chcecie, co bych nie pamiętał?

— O, o, cóż się to dzieje moiściewy, kochani, drodzy... — jęczy Tomek. — Ani ziemniaków ogrześć nieporada, ani nic... Do znaku wszystko skapie i zmarnieje... Matko Najświętsza! Dejże też te pogody jakie, uproś przecie u Pana Jezusa, u synaczka swojego najmilszego... Królowo Niebios, Pani moja... w ręce!

— Dej Bożej

— Na tę naszą biedę...

— Biedkę kochaną!

W milczeniu podawali dalej szklankę okopistą, uważając przytem, ażeby nie rozlać, nie sponiewierać daru bożego.

Gdy przyszła kolej na pisarza, ten ujął misternie szklankę dwoma palcami, przejrzał się w niej i wypił; potem nalał drugą i tę już bez namysłu wychylił, podając sturbowanemu sąsiadowi, ktobądź nim był, próżne, zielone szkło. Tak czynił zawdy, odkąd go poznali, więc nikt się temu nie dziwił.

— Musiał się już z tem urodzić — powiadali — abo, kto wie...

— Ho! ho! Nasz pisarz ma głowę i łeb moiściewy, nie na wszy! Kazanie wam calutkie powtórzy, ani słóweczka nie wypuści... Taki pamiętny wicie już od urodzenia.

— Bóg mu dał talent...

— Hej, by miał z czego żyć... Jedni, wicie, żyją z gruntu, a drudzy letko — z talentu. Na jednych Paniezus więcy łaskawy, na drugich mniej.

— Nima to i w niebie sprawiedliwości...

— Nie bluźnijcie! padam wam, bo...

— Kto bluźni?

I wnetby przyszło do bitki, bo kilku ujęło się gorliwie za sprawiedliwością niebieską, gdy powstał pisarz z za stołu i chrząknął wyraźnie trzy razy, co znaczyło, że pragnie zabrać głos... Uciszyli się wszyscy. On zaś, oparłszy pięście o stół, przemówił w te słowa:

— Nie powiem wam nic inszego, jak ino to, co gadał ksiądz pleban na kazaniu.

— Dyc my już słyszeli...

— To usłyszycie drugi raz... Nie zawadzi.

— Słowo Boże — rozpoczął pisarz — jest jako świątły chleb, który się nigdy nie przyje...

— Oj, nie przyje, nie!

— Cicho tam!

— Tak samo, jak manna niebieska...

— Nie jak placek owsiany...

— Cit!

— Słuchajcie!

— A kto je będzie słuchał nieśpiący — ciągnął pisarz — tego uszy staną otwarte na wszelkie słowa mówiące i pisane. I stanie mu się we łbie jasno, mówił ksiądz pleban...

— To już wiemy!

— I... pozna wszelkie arkana wiary naszej przenaświętszej i będzie jako on filozofus, który okiełznał emanację...

— O czemże wy gadacie? — szarpnął go Jędrak za rękaw.

Pisarz, zbity z tropu tak niesłychaną uwagą, chrząknął raz, chrząknął drugi raz, wreszcie wychylił duszkiem stojącą przed nim szklankę.

— Bieda jest, bo jest! — począł, ocierając usta.

— Tak mówcie! — wrzasło paru — co tam filozofy!...

— A wiecie, skąd się bierze?

— Ba! Kadukby ta odgadł... Przyszła i jest psiapara.

— A co gadał ksiądz pleban?

Wszyscy się zastanowili.

— No, co gadał? Powiedzcie... — szepnął Tomek.  
Pisarz potoczył dokoła okiem filozofa, „który okiełznał emanację”...  
— Grzech jest w narodzie! — huknął. — Grzech jest i nic więcej...  
— A bieda kany się podziłała? — wtrącił Jędrzek żałośnie z końca stołu.  
Pisarz ku niemu oczy gniewnie obrócił.  
— Bieda jest w grzechu, a grzech w biedzie! Rozumiesz teraz?  
A gdy wszyscy milczeli, podniósł głos i tak prawił:  
— Ksiądz pleban dokumentnie wyłożył, o co się rozchodzi. Nie idzie — prawi — o tych, co się zabawią w karczmie, albo w Kółku. Bo co biedny człek ma w niedzielę robić?  
— Hej! — potaknęli.  
— Ino o tych idzie, co pod dzwonnice nie zajądzą, a dom Boży obchodzą z daleka... Ci to heretycy, niedowiarki — prawił — co niedzielę świętują w chałupie, wymijają ucciwych ludzi, do spowiedzi nie idą, jak rok długi, ba ino grzeszą i grzeszą... Oni to rozumu ucza się z pism djabelskich i bezbożnych ksiązek, oni to djabłu zapredali swą duszę na wieczne zatracenie.  
Tu odsapnął pan pisarz i wychylił szklanę.  
Potem otarł pot z czoła, na którym żyłami wypisane stało kaznodziejstwo.  
— Jest tu między wami kto taki, co widział te bezbożne pisma?  
Milczenie.  
— Chwała Bogu! Sprawiedliwość nie odeszła z narodu... Was to Bóg karze za tych zapredanych; cała wieś cierpi za jednego...  
— Za Cyrka! — szepnął Tomek.  
— Za Cyrka! — powtórzył pisarz i zaraz dodał: — Dwa tygodnie słonka nie widać. Paniezuś zasłonił swoje oblicze przed nami...  
— Bo my niegodni...  
— Kto niegodny?!  
Powstał hałas. Z hałasu nic nie można było zrozumieć, tylko jedno słowo: Cyrek.  
— Ta psiakrew! Ta nas gubi...  
— Djabłu duszę zapredał!  
— Ksiądz pleban... — począł pisarz.  
Nie słuchali go. Zajądłość na Cyrka rosła; dopowiadali o nim coraz to nowsze historie.  
— Idę se — mówił Tomek — wyrzecz na pasterzy, a ten, wiecie, co robi w samiotką sumę? wiecie?  
— Co?  
— Kwiczole chyta... „Zjadłeś ty djabła, aj-eś ty zjadł” — powiadam mu — „toś tu? A któż za ciebie w kościele?” — „Ja — pada — za siebie najął”... — „Kogo?” — pytam się. „Błażeja Szczyptę” — odpowiada. — „Ja mu siekł, a baba mu żęna”... „Poczekaj, hyclu!” — mówię mu — djabli Szczypty za ciebie do piekła nie najmą; musisz ty sam odługować”...  
— Siedem roków, jak nie był do spowiedzi...  
— A przed kościołem mieszka...  
— Luter krotny! heretyk!  
Wójt się wmieszał.  
— Nie pije, pada, ani do karczmy nie chodzi...  
— E, bo mu djabli wódkę noszą do chałupy! Co się ma fatygować?  
— Dyc niejak!  
— Powiesić psiakrew, to sie upamięta...  
— Nauczyc hycla rozumu!  
Wszyscy porwali się od stołu. W oczach każdego zaiskrzył się groźny, ponury fanatyzm.  
Nagle drzwi się otwarły i do izby wszedł Cyrek.  
Dwadzieścia nóg raptem posunęło się ku niemu, dwadzieścia pięści ujrzał nad swą głową. I zamiast się przerazić...  
— Zaczekajcie — rzekł spokojnie. — O co wam to idzie?  
Połowa pięści opadła.  
— Ty, niedowiarku, ściągasz na nas pomstę! Bez ciebie deszcz leje!...

— Dejcież mi usiąść! — ozwał się Cyrek i, zwracając się do wójta, szepnął: — Cztery flaszki!

Wszyscy, zdziwieni, odstąpili go, patrząc po sobie, a wójt skoczył do szafki i postawił na stole cztery litry.

Cyrek podszedł z wolna i nalał.

— Kto nie pije?

Nikt nie odpowiedział, więc przypił do pierwszego z kraju. Poprzysuwali się w milczeniu i nieśmiało. Żaden nie chciał być ostatnim. Pisarz jeno zapomniał sobie o zwyczaju i wypił tylko jedną szklankę.

— To pijecie? — spytał Jędrak.

— No... no... ktoby się to spodziewał?

— Niczemu się, moiściewy, dziwować nie trza... rzekł ostentacyjnie pisarz.

Rozmowa się powiązała, i z drugą kolejką urosła w hałaśliwą gwarę. Każdy się do Cyrka zwracał, każdy chciał z nim mówić.

— E każ-eście się zabrali? — pytali go.

— Do folusza...

— We święto?

— Dyc kież pódę? W robotny dzień czasu nima, a tu portczęta ladaco...

Wyciągnął nogę.

— Słusznie macie kumie — ozwał się polowy — ale też uważajcie na niedzielę, uważjcie, bo to grzech.

Cyrek się roześmiał.

— Jakby wam cielę zdechło w niedzielę... nie ratowalibyście?

— A i pacierzy nie mówicie — dodał Jędrak — a pacierz od Boga nakazany...

— Ba, i ja się bez pacierza nikany nie ruszam, bobych sie ruszyć nie zdołał... Zawdy go noszę na grzbiecie...

Powstał śmiech.

— Oj kumie, kumie! Byście choć do kościoła zajrzeli raz kiele czas... Naród się modli o pogodę... Dyc i wam potrzebna!

— Ja tak uważuję — począł Cyrek. — Ludzie sie modlą, to chwałą Bogu, to sie ta bez jednego obejdzie... Pan Bóg ta nie wie nawet, moiściewy, czy żyje na świecie jaki Cyrek...

— Nie bajcież!

— A do nieba sie ta nie napieram, bo mnie i tam posadzą na pośledniem miejscu... tak moiściewy!

Kolejka przeszła rzędem.

— A potem i tak uważuję — ciągnął Cyrek — jak sie wszyscy modlą, jak sie modli cała wieś, to honor Panu Bogu większy, niżeli odemnie... Tak, tak.

Zadumał się, wsparty na ręce, i z wolna posepniał, a kumotrowie raczyli się rzetelnie jego winem.

— Do nieba sie nie napiera... no powiedzcie! Co to za...

— Bo i zresztą — mruknął Cyrek — nigdybych sie nie dokołatał... darmo! — podniósł głowę. — To tak naprzykład: Ja wnoszę do starosty suplikację i wójt wnosi... To wójta pierwi przyjmą, posadzą na stołku, a ja muszę stać w sieni, burzyć sie i czekać.

— Sprawiedliwie! — kichnął wójt.

— Na zdrowie! — odpowiedzieli.

— Toż to — kończył Cyrek — prędzej wy uprosicie u Pana Jezusa pogodę, niżeli ja mizerny człek...

— Sumiennie gada! — rzekło paru.

— A jak wam bedzie sloneczko świeciło, to przecie na mój grunt nie poleje...

— Dyc każ-by!

— I ja sie wtedy, wicie, będę w polu uwijał.

Nic nie umieli odpowiedzieć.

Wszystkim przypadają do serca rozumne słowa.

— To ci łeb! — mówili między sobą.

— Haraku! — krzyknął pisarz i spojrział dumnie na obecnych. — W mig pojawiła się flaszka.

- O, tu mnie już nie upytacie — szepnął Cyrek i powstał.
- Każ uciekacie?
- Muszę!
- Kaniż wam tak pilno?
- Czas nie stoi, ba idzie... Zawdy go trza gonić, aby nie uciekł...
- Dyc mądrze gadacie, bo mądrze, ale... napijcie się z nami!
- Darmo!
- E siądźcież!

Rzucili się ku niemu i poczęli go ciągnąć gwałtem; jeden za chazukę, drugi za serdak, inny znów, gdzie zdołał dostać i uchwycić... Ale on zapał się nogami i ani rusz. Zeszamotali się i pomęczyli przy nim.

— Twarde macie sumienie — mówili, dysząc.

— Coby robił na świecie bez niego? Ziemia twarda, jak skała, ani je ugryść, to trza twarde uwziątki coby wyżej... Kumie! — zwrócił się do wójta mam do was nieduży interesik... ale to jutro — dodał po namyśle. — Wyciągnijcie jeszcze flaszczynę!... — szepnął i począł szukać w zanadru okrągłaków.

Radni myśleli, że sobie Cyrek flaszkę do rękawa wsadzi, więc niemałe było ich żdziwienie i radość, skoro ją Cyrek na stole postawił.

— Ostajecie? — wołali.

— Nie, ino chcę wypić za wasze zdrowie, a potem już do reszty wy moje pokrząpcie... W ręce!

— Dej Boże!

Cyrek pożegnał się ze wszystkimi.

Wójt, bełkocąc coś niezrozumiale, wyprowadził go do sieni, lecz nie dojrzał już złośliwego uśmiechu na ustach Cyrka, bo ten szybko przechybnął próg. Splunął potem przed siebie, poprawił kapelus i poszedł.

W izbie zawrzało po jego odejściu.

— To mi człek!

— Takich więcy!...

— Wójcie...

— Krześcijan, jak sie patrzy!... Nasze wiary, święte wiary!

— Wójcie! Dejcie-no jeszcze kapkę. Niech już bedzie do równości...

— Pamiętasz Jędrus, jak my se razem pasali... w ręce!

— Dej Boże!

— Na tę naszą biedę...

— Biedkę kochaną!

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/planety-niedowiarek/>

Tekst opracowany na podstawie: Władysław Orkan, *Planety*, Biblioteka Domu Polskiego, Warszawa 1927.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, a korektę ze źródłem wikiskrybowie. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Okładka na podstawie: [Tristan Ferne@Flickr](#), CC BY 2.0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.